

Jan Maciejewski: Ptaki i parweniusze

„Rzym żyje tylko wtedy, kiedy jest rozrywany, gdy wyszarpują go sobie przeciwstawne siły. Republiki i monarchii, pogaństwa i chrześcijaństwa, ortodoksji i herezji. Żyje w Brutusie wbijającym Cezarowi miecz w serce, pierwszych męczennikach rzucanych lwom na pożarcie i w stosie płonącym pod stopami Giordano Bruno” – pisze Jan Maciejewski w nowym cyklu pt. „Dziennik rzymski”.

W Rzymie tylko ptaki są u siebie. Nie zatrzymują ich w miejscu ruiny ani kościoły, równie swobodnie załatwiają się na pomniki ponurych heretyków w opuszczonych na oczy kapturach co natchnionych świętych, podnoszących twarz ku niebu. Nie martwią się o to, co będą jadły i gdzie spały. Żywią się resztkami pizzy pozostawionymi przez turystów, wydzierają od wczesnego rana i patrzą na wszystkich z góry. Nie muszą płacić za wstęp na widokowe tarasy czy kopuły świątyń, wystarczy, że wzbiją się do lotu. Nawet wtedy nic ich nie dziwi, nie zachwyca ani zastanawia. Wszystko wokół jest im doskonale znane, bliskie i naturalne. Mogłyby równie dobrze urodzić się w nadmorskiej wiosce albo na polskiej prowincji i miałyby do swojego otoczenia ten sam, wielkopański, ptasi stosunek. Człowiek może tu być jeden dzień albo całe życie, a i tak będzie u nich w gościach. Bo żeby tak się w jakimś miejscu zadomowić, trzeba się na nie znieczulić.

Nie jestem w Rzymie gościem starożytności, Kościoła ani włoskiego państwa, tylko ptaków. Wszyscy inni coś tu załatwiają, są turystami albo na nich zarabiają. Sprawują urzędy, dokonują kwerend albo co najwyżej zamieszkują Rzym na stałe. Ale mieszkać, nawet od urodzenia, a być u siebie to zupełnie inna sprawa. Człowiek nie może być w tym mieście u siebie. Nie po to je założono. Eneasza dotarł tu jako uchodźca, ze wspomnieniem zniszczonej Troi w sercu. Jego podróż, choć pozornie tak wiele łączy ją z tą, którą odbył Odyseusz, miała zupełnie inny charakter. Odyseja była powrotem, Eneida – ucieczką i podbojem. Bezdomnemu Trojaninowi nic się nie należało, był obcy na ziemi, do której przybył. Nie dziedziczył, tylko ustanawiał. Wszystko wokół niego było nowe i nieznane. I rzymskie ptaki doskonale zdają sobie sprawę, z tego, że każdy człowiek na ich ziemi jest w jakiś sposób Eneaszem. Czego by tu nie dokonał, czy zostałby papieżem czy cesarzem, będzie w Rzymie obcym, przybyszem i parweniusem. Tak czy inaczej, w mniejszym lub większym stopniu – oszustem.

Jan Maciejewski – opowiadanie „Nawiedzona na końcu świata”

Tak jak Romulus, gdy przechytrył bogów i posłańców ich woli – ptaki. W legendzie opowiadającej o sporze między nim a jego bratem, Remusem, to właśnie one przyniosły wiadomość, gdzie powinna zostać założona osada, która z czasem miała obrosnąć całym miastem. Romulus twierdził, że na Palatynie, Remus – Awentynie. Postanowili więc, że odprawią auspicja, wróżbiarski rytuał. Przy obu braciach, na wybranych przez nich wzgórzach stanął augur, kapłan trudniący się odczytywaniem woli bogów ze wszystkiego, co dzieje się na niebie, trzymający w ręku różdżkę w kształcie litery „Y”. Liczyli sępy przelatujące przez jej ramiona. Nad wzgórzem awentyńskim pojawiło się ich sześć, palatyńskim – trzy. Romulus jednak skłamał mówiąc, że

było ich dwanaście. Po czym wyrył w ziemi bruzdę mającą wyznaczać granicę nowego miasta. Rozsierdzony Remus przekroczył ją, za co został zamordowany przez swojego brata.

Bóg wymyślił wieś, a człowiek wynalazł miasto. Każde z nich ma w sobie coś z poczucia winy, wyryte na placach i budynkach znamię Kaina, pierwszego bratobójcy, zwanego też pierwszym budowniczym miast. A Rzym jest pierwszym z miast, licząc nie według chronologii, ale istoty, „stężenia miejskości”. Ufundowanym przez podwójną zbrodnię – oszustwa i morderstwa, pogwałceniem praw bogów i ludzi. Miastem trwającym w sporze, rozrywaniem przez sprzeczności. Miastem w agonii. W pierwotnym, właściwym sensie tego słowa, oznaczającym nie śmierć, konanie, tylko walkę. „Można umrzeć bez agonii, a można żyć, i to przez wiele lat, w agonii i z agonii” (Miguel de Unamuno).

Rzym żyje tylko wtedy, kiedy jest rozrywany, gdy wyszarpują go sobie przeciwstawne siły. Republiki i monarchii, pogaństwa i chrześcijaństwa, ortodoksji i herezji. Żyje w Brutusie wbijającym Cezarowi miecz w serce, pierwszych męczennikach rzucanych lwom na pożarcie i w stosie płonącym pod stopami Giordano Bruno. Nic dziwnego, że ptaki nie chcą mieć z tym całym zamieszaniem nic wspólnego, patrzą na nie obojętnie z góry. One są stąd, żyją tu sobie spokojnie aż do śmierci. Swoim ptasim, naturalnym i obojętnym życiem. Nie rozumieją sensu tej walki, nigdy nie znajdują się w agonii.

Charles Maurras wprowadził rozróżnienie na spadkobierców i stypendystów. Ci pierwsi nie muszą niczego udowodniać, rodzą się z kapitałem, którego nie można uciuć, a jedynie odziedziczyć. Są silni wielkością tego, co ich poprzedza; mocni długim trwaniem struktur, w których się urodzili. Zawsze wiedzą którego sztucca użyć do jakiej potrawy, zabawią towarzyszy przy stole od niechcienia rzuconą w nienagannym francuskim anegdotą. Stypendysta jest zawsze w biegu, nigdy nie zdąży nadrobić straconego przez poprzednie pokolenia czasu. Nie przestaje doczytywać i się kształcić, ale w głębi serca pozostanie parweniuszem. Niespodziewanym gościem na proszonej kolacji. W dobrym towarzystwie będzie co najwyżej tolerowany, jego wygłaszanych niepewnym tonem zdań wysłucha się z ironicznym uśmiechem na ustach. „Tak? Doprawdy? A gdzie pan o tym przeczytał”.

Maurras stawiał spadkobiercę nad stypendystą, pewność siebie nad kompleksami. Zasiedzenie w Europie nad jej porywanie. Bycie kulturalnym, nad stawanie się takim. Bo oczywiście nie mówimy tylko o typach ludzkich, nie w pierwszej kolejności o nich, ale o stosunku do swoich korzeni. O tożsamości, którą albo „się ma”, albo „zdobywa”.

Jedną z najważniejszych lektur mojego życia była „Europa. Droga rzymska” Remiego Brague’a, będąca wielkim odwróceniem hierarchii ustanowionej przez Maurrasa. Nie jej zaprzeczeniem, tylko postawieniem na głowie. Tak – mówi Brague – sam podział jest przeprowadzony właściwie. Istnieją zarówno spadkobiercy jak i stypendyści. Ale lepiej, bardziej po europejsku, jest być tym drugim. Nie posiadać, ale zdobywać. Przewycięzać w sobie barbarzyństwo, a nie po prostu, samemu z siebie „być kulturalnym”. Nie wyprzedzać, lecz nadganiać. Mówi o tym w pięknych obrazach: Karola Wielkiego, przy

którego łóżku całe życie leżały narzędzia do nauki pisanie – taka właśnie jest Europa: niepiśmienna, ale ucząca się pisać; albo akweduktu, pomostu przetrzucanego nad przepaścią, wyrównującego swoją budową różnicę między poziomami. Rzymskość oznacza posiadanie za sobą Greków, którym nigdy nie uda się dorównać, a przed sobą – barbarzyństwa, jakie trzeba ujarzmić. Rzym nie przyniósł światu niczego nowego, poza samą nowością. Przeszłość - wszystko to, co w niej wielkie, godne zapamiętania i kontynuacji - nie jest nami. To ci subtelni Grecy, pobożni Żydzi. My jesteśmy tylko Rzymianami. Ale możemy uczynić tę przeszłość naszą. Przywłaszczyc ją sobie. Wybrać na stypendium zarówno do Aten jak i Jerozolimy. Nigdy nie sformułujemy tak trafnych i odkrywczych myśli, nie zaniesiemy takich gorących modłów. Ale będziemy się starać. Tradycji nie można osiąść, ona żyje tylko wtedy, kiedy jest przekazywana. Rzym jest powołany, by odnowić to, co stare. Odnowić, nie przejąć ani odziedziczyć.

Rzymianin nie stanie nigdy w jednym rzędzie obok Stefana Karwowskiego i nie będzie wraz z nim wpatrywał się w zakupiony przed chwilą „portret przodka”, dopatrywał podobieństw między sobą a fałszywym prapradziadkiem. Wie, że nie miał ona czasu na pozowanie do obrazów, był nieokrzesanym legionistą, pragnącym tylko „gwałcić, rabować, sycić wszelkie pożądanie” (A Juliusz Cezar milcząc zabaw nie zabraniał). I właśnie dlatego, że to wie, wyjeżdża na kolejne stypendia, staje przed obrazami, których sensu i artyzmu może się jedynie domyślać, wsłuchuje w niezrozumiałe na pierwszy, drugi a nawet trzeci rzut ucha wywody filozofów. Ale podziwia i przyswaja, bo to jedno akurat rozumie: że wielkość i kultura nie są w zgodzie z jego naturą, są na zewnątrz. I kiedy to wreszcie zrozumie, zaczyna rosnać. I nie przestaje. Rzymskość to ruch zasilany i napędzany poczuciem

niższości. Rzym był ruchem bardziej niż czymkolwiek innym. Wybudował drogę, do której wjechały w głąb kontynentu mądrość Grecji i wiara Izraela. Bo być rzymskim, oznacza pozostać w drodze.

Takie jest też rzymskie doświadczenie przestrzeni. Gdzie my widzimy skrzyżowanie (czterech dróg), łacina mówi o „trivium” – czyli trzech drogach. Patrzymy z góry, a Rzymianin nie wie skąd przybywa, dokąd chce dotrzeć. Nie ogarnia przestrzeni wzrokiem, ale ją przemierza. Nie patrzy z lotu ptaka, tylko przedziera się przez ziemię. Grecy rzeźbili na posągach postaci w spoczynku, Rzymianie – postaci w drodze, idące przed siebie. Było w końcu tak wiele do zrobienia, przyswojenia i poznania. A przeszłość to tylko bratobójcy i gnijące w pomieszanej krwi galijskie wzgórza.

Jan Maciejewski „Już pora” dostępne w księgarni Teologii Politycznej

Nie jestem w Rzymie u siebie. Oblewa mnie zimny pot za każdym razem, kiedy mam zamówić coś do jedzenia i prawie za każdym razem daje się bezczelnie ograbić podstępny kelnerom. Rozleniwiony obowiązującym w Polsce przepisem o pierwszeństwie pieszych, żegnam się z życiem za każdym razem, kiedy przechodzę przez drogę, na której jedyną panującą zasadą wydaje się być prawo silniejszego. Zbijam „piątki” tylko z ciemnoskórymi sprzedawcami opasek na rękę, zagajającymi za każdym razem w ten sam sposób: „fajne buty!”. Mylę drogi, przegapiam zabytki i punkty widokowe. Jestem parweniuszem. Stypendystą, próbującym w ciągu kilku tygodni nadrobić stracone stulecia.

Jan Parandowski stwierdził, że każdy dostaje taki Rzym, na jaki sobie zasłużył. Jeśli tak, to chciałbym sobie zasłużyć na Rzym kompleksów i poczucia niższości. Rzym, który nigdy do końca się nie stał i tylko dzięki temu nadal żyje, nie przestaje się stawać. Być może okrzepł i się usatkwował, zadowolił sam sobą jako „turystyczną i kulturalną atrakcją”. Być może zatrzymał się w drodze i nigdzie już nie chce dotrzeć, niczego nadgonić. Bo on to już się nabiegał i nachodził, teraz niech młodszy się pomęczą. On wreszcie jest nad Tybrem u siebie, nigdzie nie musi się już wybierać.

Ale ja mu nie wierzę. Myślę, że to tylko przerwa, chwilowa zadyszka. Zaraz wróci do siebie, do sporu i agonii. Nie umarł, lecz śpi. Nie jego truchło przyjechałem tu oglądać, ale szukać dowodów jego faktycznej wieczności. Spraw, o których tylko on może opowiedzieć i tylko w nim mają prawo się rozstrzygnąć. Jego niezaspokojonej duszy stypendysty. Nie tego, co się tu kiedyś wydarzyło, ale co dopiero ma nadejść.

Przybyszu, który Rzymu szukasz w owym Rzymie
I nie znajdujesz w Rzymie żadnej z rzeczy Rzymu,
Patrz. Kolumna złamana i w pałacach kroki
Pokoleń. Tylko wiatry i popiół, i imię.
Ten jest Rzym. Gwiazda może w tych ruinach błędzi
I błyska, jak błyskała i miastu, i światu,
Bo miasto świat zdobyło, a świat zdobył miasto
I wszystko w proch upadło, by znowu czas rządził.

O chwilo, o przemiano. W tym Rzymie ukryty
Inny Rzym wciąż kiełkuje, wolny i podbity.
Wszystko ku zmianie pędzi. Tylko Tyber śpiewa
I płynie tam, gdzie morze swe delfiny pasie:
To, co w czasie stać miało, Czas kruszy i zwiewa,
To, co przepływa w czasie, będzie trwało w Czasie.

Jarosław Marek Rymkiewicz, „Epitafium dla Rzymu”

Jan Maciejewski

Wszystkie teksty Jana Maciejewskiego dla Teologii Politycznej